

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.

MARTYNA MATWIEJUK: Przy mikrofonie Martyna Matwiejuk, witam w kwietniowym odcinku przeglądu nowości płytowych Audycji Kulturalnych, czyli w Kontroli Jakości. Jak zawsze nie zabraknie w nim dźwięków z różnych obszarów muzycznych, a zaczniemy od trzeciej płyty z autorską muzyką wiolonczelisty Krzysztofa Lenczowskiego, którego prawdopodobnie znają Państwo nie tylko z twórczości solowej, ale również kwartetu smyczkowego Atom String Quartet. Album „Lost Journey”, wydany jako Krzysztof Lenczowski trio, ukazał się z początkiem marca. O tej płcie za moment, ja jestem ciekawa, czy ty Krzysztofie postrzegasz siebie bardziej jako instrumentalistę czy jednak kompozytora.

KRZYSZTOF LENCZOWSKI: To jest trudne pytanie o tyle, że to się cały czas w mojej głowie, jeżeli pytasz o moje postrzeganie jako takiego, to się cały czas zmienia do tego stopnia, że mam po prostu różne procesy i w różnych momentach różnie o sobie myślę, na przykład kiedy zaczynaliśmy współpracę z Atom String Quartet, to ewidentnie miałem wrażenie, że odstaję od moich kolegów, jeżeli chodzi o moje umiejętności instrumentalne. To też było spowodowane tym, że w tamtym czasie, ja muzykę jazzową grałem tylko i wyłącznie na gitarze, a na wiolonczeli – tylko i wyłącznie klasyczną. Dlatego starałem się zrównoważyć moją obecność w zespole tym, że pisałem bardzo dużo utworów, bo akurat w komponowaniu w tamtym okresie – miałem wrażenie – jakby mogłem włożyć taką cegiełkę do funkcjonowania zespołu, grając swoje utwory, pisząc czy niekoniecznie swoje utwory – mówię o aranżacjach, czy pracując w taki sposób, że niekoniecznie dawałem tyle jakości jako instrumentalista, ale starałem się odznaczyć swoją obecność w zespole jako kompozytor. Potem mijają lata i mam wrażenie, że coraz pewniej się czuję jako instrumentalista grający muzykę jazzową, bo my już w kwartecie gramy dziesięć lat, jedenasty rok w zasadzie. No i nie da się ukryć, że w tym momencie czuję się już dosyć pewnie jako wiolonczelista jazzowy, mimo tego że mam wrażenie, że ten rozwój jest cały czas przede mną, to właśnie teraz jest taki moment, właśnie związany z pandemią, że na przykład dostałem stypendium Ministra Kultury na napisanie jazzowego koncertu wiolonczelowego. No i teraz siedzę w domu i od jakiegoś czasu, mówiąc wprost, dostaję pieniądze ze stypendium na pisanie koncertu, a nie koncertuje, czyli też w mojej głowie pojawia się taka myśl, że w zasadzie w chwili obecnej z zawodowego punktu widzenia, można powiedzieć, że bardziej jestem kompozytorem, niż instrumentalistą. Generalnie bycie muzykiem jazzowym czy bycie muzykiem sesyjnym też, na zasadzie

nagrywanie i realizowanie się poprzez takie krótkie akcje związane z nagrywaniem muzyki sesyjnej, powoduje, że ja zdecydowanie bardziej o sobie myślę jako o instrumentalście tak bardziej na zewnątrz. Ja nie funkcjonuję jako kompozytor. Ja nie skończyłem studiów kompozytorskich. Nie postrzegam siebie na zewnątrz jako kompozytora. Natomiast jeżeli chodzi o moje postrzeganie wewnątrz mnie, na zasadzie ile czasu poświęcam na przykład na to, żeby przygotować taką płytę jak „Lost Journey” w zaciszu własnej pracowni, po to aby w studiu wszystko szło gładko. To jakbym miał myśleć na to ile czasu poświęcam na ćwiczenie na instrumencie a ile czasu na napisanie tej muzyki, to znacznie bardziej poświęcam się temu, żeby napisać tę muzykę, ale z drugiej strony też na zewnątrz, obsługuję bardzo specyficzny instrument w muzyce jazzowej, przez co nie da się ukryć, że jestem bardzo chętnie angażowany do tego, żeby nagrywać bardzo wiele rzeczy z bardzo wieloma wspaniałymi artystami i raczej moje umiejętności kompozytorskie nie są postrzegane w taki sposób, żeby mnie angażować, żebym dla kogoś coś zaaranżował, napisał; raczej te rzeczy robię na potrzebę własnych projektów. Natomiast jeżeli chodzi o wykorzystanie moich umiejętności jako instrumentalisty – można powiedzieć – jest zupełnie odwrotnie, jestem bardzo mocno dostrzegany jako wiolonczelista jazzowy, który gra jazz, mimo tego że postrzegam siebie jako osobą, która ma jeszcze bardzo wiele w tym zakresie do zrobienia. To też nie jest tak, że uważam siebie za jakiegoś wybitnego kompozytora, bo broń Boże tak nie jest, dlatego głównie rzeczy które komponuję, to są rzeczy właśnie takie... miałem ostatnio też taki proces myślowy, że to co ja mogę dać od siebie jako kompozytor, to jest pisanie tego, na czym się po prostu dobrze znam, czyli ja piszę rzeczy głównie na instrumenty smyczkowe, nie piszę rzeczy na fortepian, nie piszę piosenek za dużo. Piszę rzeczy głównie na kwartet smyczkowy i jeżeli już to na wiolonczelę czy na wiolonczelę z orkiestrą, ale to też cały czas jest taki kontekst bardzo instrumentalny.

MARTYNA MATWIEJUK: Wiolonczela była zatem znakomitym wyborem. Wspomniałeś o najnowszej płycie, u której zarania leżała lektura pewnej książki „Biegunów” Olgi Tokarczuk. Jak rozumiem, obudziła ona w tobie taki głód wędrówki?

KRZYSZTOF LENCZOWSKI: Tak, lektura Olgi Tokarczuk, tutaj też niejednokrotnie prostować jeden bardzo prosty fakt, że nie była dla mnie taką wprost inspiracją tylko bardziej była impulsem do tego, żeby ta płyta powstała. To faktycznie jak sobie o tym myślę, to już było ponad rok temu, kiedy był ten pierwszy lockdown i kiedy był ten pierwszy szok związany z tym, że całe moje zawodowe życie związane z podróżowaniem, czasem naprawdę z zaginaniem czasoprzestrzeni, bo my faktycznie z kwartetem w normalnym roku koncertowym

gramy około osiemdziesięciu czy stu koncertów w bardzo wielu krajach. Potrafimy polecieć do Kanady, wrócić do Europy, polecieć do Chin, wrócić do Europy, polecieć do Stanów, wrócić do Europy i to się na przykład odbywa w trzy tygodnie wszystko. Cały ten, można powiedzieć, zgiełk związany z tym bólem głowy, związany właśnie z przemieszczaniem się, koncertowaniem, tym, że trzeba się uczyć cały czas nowych rzeczy; nagle został zastopowany. No i to tak trwa, trwa, trwa i faktycznie w tamtym momencie, no jak przeczytałem jeszcze tych „Biegunów” i tam jest mowa o różnych takich właśnie rzeczach, że mamy takie chwilowe adresy, na przykład w samolocie na dwie godziny czy pięć godzin mamy adres: dwadzieścia siedem F, to taki moment, że zacząłem sobie zdawać sprawę z tego, że chcę przelać te myśli i te doświadczenia, które też wynikały głównie ze współpracy z różnymi muzykami na przestrzeni lat, właśnie na ten album. W taki sposób zacząłem o tym myśleć i to nie jest tak, że starałem się przelać myśli Olgi Tokarczuk na muzykę – broń Boże nie – natomiast był to niewątpliwie impuls, przeczytanie tej książki, do tego żeby ta płyta w ogóle powstała.

MARTYNA MATWIEJUK: Można odnieść takie wrażenie, że pisząc ten album, nie mogłeś usiedzieć w miejscu. W bardzo różne strony powędrowały te inspiracje i zaciekawilo mnie to, co napisałeś o tej płycie, że tym razem to nie było zajrzenie w głąb siebie, ale rozejrzenie się dookoła. W jakie strony powędrował twój wzrok?

KRZYSZTOF LENCZOWSKI: Jakby wytłumaczę się z tego zdania w taki sposób, że moja debiutancka płyta „Internal Melody” była właśnie próbą spojrzenia wewnątrz siebie, tego co mi się podoba i tego co mi się na zewnątrz po prostu nie podoba. Ja jak pisałem „Internal...”, znaczy pisałem... [poprawiając się: wymyślałem} koncepcję brzmieniową przede wszystkim na płytę „Internal Melody”, to było na zasadzie negacji – wypisywałem rzeczy, których na pewno nie chcę na tej płycie, na przykład nie chciałem na pewno żadnych kontekstów amerykańskich, nie chciałem żadnych nut swingowych, nie chciałem, żeby tam był instrument, który może pełnić rolę basu, bardziej niż wiolonczela, stąd wybór organów Hammonda. Nie chciałem też, żeby to były instrumenty, które mogą brzmieć długo. Nie chciałem też tam jakiś wymyślonych kompozycji. Bardzo wiele rzeczy sobie wypisałem, które nie chcę i w ten sposób ten album powstał. Tu można powiedzieć było dosyć odwrotnie, starałem się spojrzeć, rozejrzeć właśnie wokół siebie, zobaczyć co mi się w muzyce podobało ostatnio, co spowodowało, że na przykład pokochałem muzykę na nowo, jakie mam obecnie inspiracje i co na przestrzeni tych lat faktycznie powodowało, że ta muzyka mi się podobała. Ostatnio mi się podoba właśnie taki balans pomiędzy właśnie tą sferą intelektualną, ale też emocjami – bo nie lubię jak muzyka jest za bardzo przegięta w jedną, albo w drugą

stronę i muszę powiedzieć, że każdy ma bardzo osobisty odbiór tych rzeczy, ale faktycznie było tak, że mieliśmy jako „Atom String Quartet” szczęście współpracować z takimi kolegami, którzy w jakiś taki bardzo namacalny sposób pokazali mi, jaką muzykę można grać w zasadzie już w tym momencie albo za parę chwil dosłownie, będąc na naszym poziomie. Mam na myśli naszą współpracę na przykład z Petrossem Klampanisem, który jest kontrabasistą, dosłownie kilka lat ode mnie starszy, on jest w wieku Dawida Lubowicza, czyli skrzypka „Atomic String Quartet” i to jest tak, że on – właśnie ten Petros – zrobił na mnie takie wrażenie, że zobaczyłem faceta, który nie jest gdzieś tam w stratosferze jak Branford Marsalis albo Bobby McFerrin, z którym też miałem okazję współpracować, tylko jest na wyciągnięcie ręki i tworzy muzykę, która bardzo mi się podoba, nawet rozmawiałem z nim o tym, że to jest bardzo taki kierunek, który mi się podoba, jakby połączenie emocji, ale też z taką bardzo wystudowaną, intelektualną muzyką. No i dużo tego typu przemyśleń jest na płycie „Lost Journey”.

♪ [FRAGMENT UTWORU „LOST JOURNEY” KRZYSZTOF LENCZOWSKI TRIO – MUZYKA JAZZOWA]

MARTYNA MATWIEJUK: Chciałam cię jeszcze zapytać o takie twoje miejsce w jazzie, bo niewątpliwie to jest wielobarwny gatunek, przyzwalający na wiele eksperymentów i dający ogromną wolność twórczą. Wszystkie chwytaki są dozwolone, no ale z drugiej strony trzeba znaleźć tę swoją drogę. Jak ty byś swoje miejsce aktualnie określił?

KRZYSZTOF LENCZOWSKI: Bardzo się cieszę, że już od dłuższego czasu, znaczy może nie od dłuższego czasu, ale widzę taką bardzo przyjemną, która polega na tym, że przy okazji mojej trzeciej płyty, mało rozmawiam z dziennikarzami przy okazji wywiadów na temat wiolonczeli jako takiej i to jest coś, co jest dla mnie pozytywnym zjawiskiem, bo my - jako wiolonczeliści – bardzo często, zauważyłem, rozmawiałem o tym też z kilkoma kolegami, nie jest nas wielu, ale większość z kolegów, którzy grają jazz na wiolonczeli w Europie, to są po prostu moi koledzy; to często rozmawiamy, właśnie tak sobie żartujemy, że dużo jest takich pytań, że „O, chwytasz wiolonczelę jak gitarę, to jest niesamowite.” albo że potrafisz zrobić to, że na przykład potrafisz grać gitarowo i zawsze jest takie pytanie: „A czy znasz takiego innego wiolonczelistę, który robi to, to i to i on jest niesamowity?”. Muszę powiedzieć, że jest to bardzo ciekawe zjawisko, jest go coraz mniej i mam wrażenie, że, być może, moja muzyka jest trochę bardziej interesująca niż na poprzednich płytach i już nie ma takich rozmów, ale samo to, że gram jazz na wiolonczeli, powoduje, że w jakiś sposób, mam wrażenie, że przechodzę przez te chaszczki i jakoś tak sobie wyrębuje tę drogę własną przez tę dżunglę, bo po prostu trochę

nie ma, być może to dobrze, nie ma na kim się tak do końca wzorować, bo koledzy, którzy na przykład są - uważam niektórzy – wybitnymi wirtuozami wręcz jazzowej wiolonczeli, też nie jest ich wielu, też nie grają muzyki, która w tym momencie mnie by w jakiś sposób ruszała, mimo tego że obsługują instrument w sposób mistrzowski. I nie ma takich nagrań wiolonczelowych, które by powodowały takie uczucie we mnie, że słyszę, że jest wspaniała muzyka, a to że jest grana na wiolonczeli, to instrument jak każdy inny, takich nagrań nie ma wiele, no i mam nadzieję, że tu jest mój pomysł na mnie, żeby po prostu nagrywać rzeczy, które są związane z wiolonczelą, ale jednak ta wiolonczela jest tylko instrumentem do tego, żeby grać ciekawą muzykę, a nie tylko i wyłącznie jakby jakąś ciekawostką przyrodniczą, że „o zobaczcie, tutaj baba z brodą” nie?

MARTYNA MATWIEJUK: [śmiech] Ale to też nie zamknęło drogi temu, aby na płycie „Lost Journey” pojawił się mały powrót do przeszłości.

KRZYSZTOF LENCZOWSKI: Tak, gram też na gitarze kilka utworów, to fakt i to jest tak, że nie grałem na gitarze na scenie, myślę, że przynajmniej pięć lat i kiedy już tutaj w czasie lockdownu dopracowałem się takiego małego pokoiku w domu, gdzie mam dobrą adaptację akustyczną, mogę porozkładać te wszystkie swoje gitary i wiolonczele, i komputery, i mikrofony; to postanowiłem tak to też było na początku pierwszego lockdownu nagrywać różne krótkie filmiki do Internetu, do mediów społecznościowych, żeby w jakiś sposób się wyrażać artystycznie, niekoniecznie na scenie, ale chociażby w takiej formie. No i też sięgnąłem po gitarę i chciałem, żeby to było dla mnie przyjemne, żeby spotkanie z tym instrumentem dla mnie nie było czymś dla mnie traumatycznym albo czymś takim, co spowoduje, że będę na przykład sprawiał wrażenie, że jest to w jakiś sposób wysilone, tylko wybrałem sobie przyjemne tempo, przyjemną tonację; zacząłem sobie improwizować i kiedy było mi, że tak powiem, miło z tym instrumentem, to dopisałem do tego dosyć prosty temat. No i tak powstał utwór „Dawna znajoma”, który faktycznie wieńczy płytę „Lost Journey”, który jest trochę od czapy, no nie ukrywajmy, że jest w porównaniu do tych poprzednich utworów, gdzie jest bardzo dużo takich rytmicznych ciekawostek, zagwozdek różnych – można powiedzieć – wolt; no to tutaj ten utwór jest bardzo easy, bardzo jest prosty, ale wydaje mi się, że ma też w sumie ciekawy kolor, a ja też go często z triem gram na koncertach, bo to też jest miłe dla publiczności, kiedy następuje jakaś taka zmiana i barwowa i wizualna, że nagle facet gra trochę na innym instrumencie, jest takie – uważam – fajne. No i być może, dzięki temu, że nagrałem sobie ten utwór, to trochę pogram znowu na gitarze na scenie. No zobaczymy, jeżeli będzie można grać koncerty, to mam nadzieję, że tak będzie.

MARTYNA MATWIEJUK: **Ten ostatni gitarowy utwór nie zaburza moim zdaniem spójności całej płyty, to jest chyba kluczowe. Krzysztof Lenczowski mówił o albumie nagrany z Kajetanem Galasem oraz Bartoszem Staromiejskim, a my sprawdzimy co słycać u duetu Oxford Drama. Gosia Dryjańska i Marcin Mrówka z również z trzecią płytą „What’s The Deal With Time?” i ja najpierw chciałabym wam bardzo podziękować za dostarczenie ogromnych ilości ciepła na tym materiale.**

GOSIA DRYJAŃSKA: Dziękujemy bardzo za te słowa. No sami uwielbiamy słucać muzyki i jak potrzebujemy trochę tego ciepła, gdy na dworze ciepło zdecydowanie nie funkcjonuje, to muzyka jest tym dostarczycielem, tych pozytywnych, potrzebnych emocji.

MARTYNA MATWIEJUK: **A na czym wam najbardziej zależało, kiedy pracowaliście nad tą płytą?**

MARCIN MRÓWKA: Chyba każdy z nas może za siebie powiedzieć. Lubię stawiać sobie wyzwania, więc myślę o każdym kolejnym naszym wydawnictwie, jak trochę o coraz to wyżej zawieszanej poprzeczce, więc chcieliśmy w jakiś sposób jeszcze ambitniej podejść do tego materiału niż do dwóch poprzednich. Czy się udało? Właśnie to nie jest trochę dla nas kwestia do rozstrzygania, ale jesteśmy bardzo zadowoleni z tych utworów i również jesteśmy zadowoleni z obioru, więc w jakiś sposób również usatysfakcjonowani ogółem stanu rzeczy. [śmiech]

GOSIA DRYJAŃSKA: Ja się zdecydowanie zgodzę z Marcinem, wydaje mi się, gdy siadaliśmy do trzeciego albumu, mieliśmy już jakieś przemyślenia, jak się czuliśmy po wydaniu pierwszego albumu i drugiego albumu, to znaczy czego nam zabrakło z naszej strony, gdzie czuliśmy, że w przyszłości, jeżeli będziemy siadać do nowych utworów, to na przykład bardziej się skupimy nad kwestiami brzmienia danych instrumentów. Czy rzeczywiście na przykład dany utwór pasuje do albumu, to nam przyświecało na samym początku prac i co jakiś czas wracaliśmy do tych myśli, co spowodowało tak naprawdę, że jesteśmy już jakiś czas po wydaniu trzeciego albumu i czujemy, że nie towarzyszą nam te emocje, które nam towarzyszyły wcześniej, czyli rzeczywiście jesteśmy zadowoleni z tego, że zadawaliśmy sobie trochę więcej pytań też i kwestionowaliśmy pewne ścieżki w danym utworze, albo jakiś utwór albo kompozycję, aranżację, wiele różnych rzeczy, że rzeczywiście wracaliśmy do tych myśli, czy to rzeczywiście nam pasuje.

MARCIN MRÓWKA: [Mhm] I rezultatem tego w sumie jest to, co ty powiedziałaś tak trochę między słowami Gosiu, że pierwszy raz jest taka sytuacja, że po wydaniu albumu, nie mamy poczucia, że moglibyśmy to zrobić lepiej, więc trochę walka z własnym perfekcjonizmem przynosi jakieś rezultaty.

MARTYNA MATWIEJUK: **Przynosi rezultaty, nieraz całkiem dobre. Wśród takich sformułowań, które pojawiają się wokół waszej płyty, jest comfort music. No właśnie, to jest tak zagadka, jak stworzyć przyjemne piosenki, bo to się może wydawać banalnym, ale chyba wcale takim nie jest. Jak wam się to udało?**

GOSIA DRYJAŃSKA: To jest w sumie zabawne, bo bardzo często właśnie spotykamy się z takimi komentarzami, że to jest właśnie taka muzyka, która daje ciepło, daje spokój; a my na przykład jak patrzymy wtedy w przeszłość i patrzymy na siebie właśnie kwestionujących dane brzmienie, dane słowo, w ogóle pomysł na utwór; to towarzyszą nam zupełnie inne emocje, nie mówię o jakiś takich emocjach bardzo negatywnych, ale takich właśnie... czasami jakbyśmy siedzieli w laboratorium i rzeczywiście patrzyli pod mikroskopem na jakieś małe żyjątko, więc wydaje mi się, że może to jest ta wypadkowa tego, że bardzo nam zależy na utworach, więc pracujemy nad nimi dosyć skrupulatnie, to jesteśmy my jako muzycy; a my jako słuchacze też słuchamy tego doświadczenia, które mamy nadzieję dawać innym, czyli też szukamy tego takiego komfortu, który potrafi dać ulubiony album, ulubiony artysta i tego takiego przyjemnego uczucia, które wręcz... czasami szuka się go w ogóle w zupełnie innych dziedzinach życia i nie można tego znaleźć, więc może to jest właśnie wypadkowa tych dwóch światów i wychodzi jakiś taki twór nasz.

MARCIN MRÓWKA: I też w tym sensie trochę zaskoczyły nas właśnie reakcje na ten album, momentami właśnie opisujące muzykę jako comfort music, co jest dla nas z jednej strony bardzo pochlebne, właściwie z każdej strony jest to bardzo pochlebne, ale właśnie w nawiązaniu do tego co Gosia mówiła i procesu twórczego towarzyszącemu temu albumowi, to on nawet nie stał blisko strefy komfortu, więc to jest interesujące, ale z drugiej strony znowu, tak jak Gosia wspomniała, przykładów takich albumów jest w popkulturze mnóstwo i pierwszy, który przychodzi na myśl to chociażby „Pet Sounds” – Beach Boys, który większości z nas kojarzy się z takimi pięknymi, durowymi, wesołymi harmoniami wielogłosowymi i piosenkami, które stały się później hitami list przebojów, ale wystarczy tylko zagłębić się w biografie Briana Wilsona, żeby wiedzieć, że droga do tego albumu wcale nie była taka różowa, ale to nic w tym złego oczywiście.

MARTYNA MATWIEJUK: **A propos ulubionych artystów, czy wy wiecie co jest o was napisane na Wikipedii?**

MARCIN MRÓWKA: Wiemy. [śmiech]

MARTYNA MATWIEJUK: **Ja zacytuję: „Zespół przyznaje, że największą muzyczną inspirację dla niego stanowi muzyka Morrisseya.”. Co wy na to?**

GOSIA DRYJAŃSKA: [śmiech]

MARCIN MRÓWKA: Co możemy w tej sytuacji zrobić? Możemy napisać post na Facebooku o treści: „Słuchajcie. Pod żadnym pozorem, nie róbcie nic z informacją na Wikipedii, która jest nie wiadomo skąd, znaczy my wiemy skąd, z naszej strony na Facebooku sprzed siedmiu lat, mówiąca o tym, że największą naszą inspiracją jest Morrissey – no właśnie – i że tworzymy electro pop, bo to trochę... Raz, że właśnie to drugie, raz że nie aktualne; a to pierwsze jest mocno, ale to mocno wyciągnięte z kontekstu i ciągnie się za nami od lat i trochę sami nie wiemy, co z tym zrobić. Przecież nie będziemy edytowali własnej strony na Wikipedii.

[W TLE ŚMIECH GOSIA DRYJAŃSKA]

MARCIN MRÓWKA: Więc jest to, jest to taka trochę patowa sytuacja, ale pogodziliśmy się z nią.

MARTYNA MATWIEJUK: **No to ja myślę, że może nasi słuchacze coś z tym zrobić. Jest zadanie do wykonania. Zapytałam o tę notkę oczywiście tak trochę zaczepnie, właśnie zobaczyłam plakaty, które nad wami wiszą, niestety słuchacze tego nie widzą, ale zrelacjonuję, że to jest U2 i Fleetwood Mac. Kto jeszcze znalazłby się w tej strefie wpływów, która was ukształtowała?**

GOSIA DRYJAŃSKA: Na pewno Radiohead jest takim zespołem, który jak byliśmy młodszy, jeszcze się nie znaliśmy, to był to taki zespół, gdzie mam wrażenie, że to jest właśnie jedna z tych sił tego zespołu, że można go poznać i jest się pod wrażeniem tej wrażliwości, tej inności tego zespołu; który w szczególności jakiejś takiej nastoletniej duszy daje pozwolenie na traktowanie swojej inności jako coś całkowicie normalnego, z czym później w dorosłości jest to oczywiste, tak? Więc na pewno, na pewno Radiohead.

MARCIN MRÓWKA: Na pewno zespół Blur, który w sumie w jakiś sposób był jednym tych, które właśnie nas połączyły i ja już gdzieś chyba przytaczałem tę anegdotę i ona może nie być do końca prawdziwa, ale myślę, że w dziewięćdziesięciu procentach jest prawdziwa. Jak się poznaliśmy i zobaczyłem, że Gosia ma Grahama Coxona gdzieś na awatarze, prawdopodobnie na last.fm – mogło to być gdzieś indziej – to wiedziałem, że się polubimy. Oczywiście The Smiths, tak jak wspomniałaś Morrisey, ale bardziej The Smiths; Grizzly Bear, ostatnio Micky – w ostatnich latach. Tych wykonawców jest naprawdę dużo i oczywiście ci, którzy byli jako pierwsi, czyli w przypadku Gosi na przykład The Beatles, w przypadku moim na przykład U2 czy Radiohead, czy Red Hot Chili Peppers; ci wykonawcy pojawili się w takim momencie naszego życia, gdzie to DNA się najmocniej sformowało, więc też w jakiś sposób najmocniej nas rezonują po dziś dzień.

MARTYNA MATWIEJUK: **I oczywiście słyhać te wpływy na waszej płycie. Tu zachęcamy do sięgnięcia po „What’s The Deal With Time?“, tam serfujecie po bardzo różnorodnych stylistykach. Na zakończenie chciałam zapytać was o taki już trochę wymęczony temat, ale nie sposób go pominąć rozmawiając o pracy twórczej w ostatnim czasie. Czy pandemia wypłynęła w jakiś sposób na kształt tej płyty czy wzbudziła w was, jako twórcach, jakieś przemyślenia?**

GOSIA DRYJAŃSKA: Na pewno dostaliśmy trochę czasu, żeby ten album dopracować i to myślę, że spowodowało, że jeszcze bardziej mogliśmy, trochę pokwestionować, a trochę się przyjrzeć temu, cośmy wymyślili na trzeci album i tak naprawdę w trakcie pandemii, no głównie zajmowaliśmy się kończeniem trzeciego albumu, ale też gdy było ciężko znaleźć siłę na pracę twórczą, stricte twórczą; to siadaliśmy nawet po prostu do instrumentów. Wydaje mi się, że takie ćwiczenie na instrumencie czy „plumkanie”, pozwalało trochę ten umysł uporządkować czy dać mu spokój na chwilę, więc takie głównie z naszej strony uciekanie w muzykę, szukanie różnych relacji z muzyką, no też chociażby słuchanie muzyki.

MARCIN MRÓWKA: I chyba tak od siebie jeszcze mogę trochę dodać, że pandemia trochę też nas nauczyła pokory, w kontekście tego jaka jest rola artysty w społeczeństwie. Wcale nie jest taka, jak części środowiska może się wydawać, bo jeśli zajmujemy się sztuką, jeśli zajmujemy się muzyką, to robimy to dlatego, że to kochamy – nie wyobrażamy sobie życia bez tego, ale na pewno nie dlatego, że świat mógłby bez tego istnieć, dlatego że mamy jakąś misję dla zbawienia świata, bo pandemia też pokazała, że jest masa zawodów, bez których tak naprawdę nie moglibyśmy sobie poradzić i które tak naprawdę są najważniejsze, a my? My tylko jesteśmy artystami i robimy to co robimy, bo to jest całe nasze życie.

MARTYNA MATWIEJUK: **A ja od siebie dodam, że dobrze, że jesteście. W końcu to po ulubioną muzykę często sięgamy w trudnych chwilach i myślę, że zwłaszcza w trakcie pandemii, kości ona niejednokrotnie nasze nerwy. Oxford Drama z najnowszym albumem „What’s The Deal With Time?”.**

♪ [FRAGMENT UTWORU „EPISODE COUPLES” OXFORD DRAMA – MUZYKA SYNTH POPOWA]

MARTYNA MATWIEJUK: **A trzecią propozycją w kwietniowej Kontroli Jakości jest minialbum duetu Poli Chobot i Adama Barana, epka „Trzeba Mi” jest kolejnym wydawnictwem po długogrającym debiucie z dwa tysiące dziewiętnastego roku. Pamiętam, że kiedy rozmawiałam z wami zaraz po tej płycie, to padł taki wniosek, że to jest bardzo jesienny album i Adam zażartował nawet, że przeżywacie najwidoczniej jesień swojego życia. Nowy materiał i chyba ta jesień w sferze odczuć i w sferze atmosfery, gdzieś jest cały czas z wami.**

POLA CHOBOT: No coś w tym jest faktycznie, że to jest jakaś taka... to jest jakiś moment, w którym jesteśmy najbardziej płodni twórczo, ale nie wiem, dlaczego akurat tak się wydarzyło.

ADAM BARAN: Może jesteśmy po prostu takimi jesiennymi ludźmi. To kiedyś jakaś taka płyta jakiegoś skandynawskiego... chyba Larsa Danielssona jest, „Minor People” się nazywa i my chyba jesteśmy trochę takimi „minor people”. [śmiech]

MARTYNA MATWIEJUK: **[Mmm] Słuchałam dzisiaj obu tych płyt zestawionych razem i mimo tego że ten nowy materiał jest bardziej piosenkowy, to wyczuwam w nim sporo takich chropowatych, przybrudzonych dźwięków, może nawet niepokojących, czy to jest dobre skojarzenie?**

ADAM BARAN: Tak! Myślę, że to jest bardzo dobre skojarzenie. No my też bardzo lubimy taki pierwiastek szorstkości, może, w samym nagrywaniu. Nie do końca nagrywamy na analogowym sprzęcie. No dzisiaj już trudno nagrywać wszystko, w stu procentach analogowo. Już ta aparatura w studiach jest cyfrowa, ale chyba najchętniej to w ogóle chcielibyśmy, mogę zdradzić już gdzieś tam wstępnie, że są takie plany, żeby nasza muzyka ukaże się może w przyszłości, [śmiech] chyba jeszcze nie mogę mówić... Pola mnie tutaj...

[W TLE ŚMIECH POLI CHOBOT]

ADAM BARAN: [śmiech] ...upomina, na winyl, na winyl, więc myślę, że to jest chyba jednak idealna forma do, żeby naszą muzykę, muzykę zaprezentować.

MARTYNA MATWIEJUK: **No właśnie, jest ten wasz pierwiastek mocno wyczuwalny, ale sam proces tworzenia tym razem, był nieco inny. Pamiętam, że poprzednio Pola mówiła, że często siada do pianina, komponuje i następnie ten motyw jest transponowany przez was na gitarę. Tym razem poszliście jednak o krok dalej i gdzieś pomiędzy gitarami pojawia się również pianino. Polu, to Adam Cię namówił czy sama poczułaś, że to już jest ten odpowiedni moment?**

POLA CHOBOT: I trochę jedno, i trochę drugie. Myślę, że bez wsparcia Adama może bym się jeszcze nie odważyła, a wręcz to było trochę takie łamanie, na każdym etapie łamanie jakiś takich przeszkód i murów, które sobie sama stawiałam, bo na początku było tak, że jak już stwierdziliśmy, że to brzmienie bardzo dobrze robi i z jakiegoś powodu te piosenki się po prostu wysypują z tego instrumentu i szkoda byłoby w ten naturalny proces, jakoś bardzo mocno ingerować. No to jak już doszliśmy do wniosku, że zostawiamy fortepian, to potem chciałam, żeby ktoś inny go nagrał. [śmiech] „Wiesz, że nie no ja nie dam rady tego nagrać, trzeba do studia wziąć pianistę, kogoś kto to nagra.”. No i wtedy właśnie wchodził Adam cały na białą i mówił: „Nie! Sama się nauczysz, sama to nagrasz. Nie, to musi być jakby twoje, to musi być twoja energia, twoja emocja.”. I w każdym takim momencie zwątpienia, gdzieś tam on cały czas mnie podbudowywał i nakręcał, że to musi wyjść spod moich rąk i tak się też stało, że jeździłam do naszych kochanych sąsiadów, którzy są muzykami, pianistami klasycznymi, mają szkołę. Po godzinach po prostu wieczorami, nocami jeździliśmy do tej szkoły i ćwiczyłam na takim dociążonym, strasznie ciężko chodzącym [śmiech] fortepianie, które jest przeznaczone właśnie dla dzieciaków do ćwiczenia jakiś etud, Bachów, Beethovenów. Także bez wsparcia Adama pewnie bym nie miała aż tyle odwagi, żeby też nagrać te fortepiany, bo napisać w domu, w zaciszu domowym – może tak, ale nagrać i brać odpowiedzialność za to, jak to będzie ostatecznie brzmiało, to już trochę miałam stresik, ale bardzo się cieszę, że to się wydarzyło i teraz kolejnym krokiem jest po prostu granie tego na żywo, o ile sytuacja pozwoli.

MARTYNA MATWIEJUK: **Tego życzę wszystkim nam, zarówno twórcom, jak i odbiorcom. No a czy Adam nadal pilnie ćwiczy po sześć godzin dziennie?**

ADAM BARAN: Wiesz co? No ćwiczę, no. [śmiech] Ja jestem teraz jeszcze w, dodatkowo, w takiej sytuacji, że robię dyplom na akademii, więc trochę ta sytuacja na mnie wymusza. [śmiech] Nie no, po sześć godzin to trochę przesada, ale ćwiczę sporo, ćwiczę sporo.

MARTYNA MATWIEJUK: **I ten wasz gitarowy klimat pozostaje cały czas i mimo różnych reinterpretacji muzyki, którą się inspirujecie, wy chyba nie odcinacie tych swoich bluesowych korzeni?**

POLA CHOBOT: Nie, zupełnie nie. Cały czas przyświeca nam eksplorowanie tych stref i cały czas przyświeca nam, takie poczucie, że fajnie jest przepuszczać to przez naszą własną emocję, przez naszą własną wrażliwość, a że jednego dnia słuchamy Esbjörna Svenssona, a drugiego po prostu Muddy'ego Wattersa; no to musiało się... po prostu musiało wybuchnąć – wiesz – takie połączenie i gdzieś tam wytwarza się po prostu dzięki temu, jakiś nasz język. My też przez tę pandemię nauczyliśmy się, żeby nie zakłócać takich naturalnych procesów twórczych, które gdzieś tam z nas wychodzą, żeby szanować to, co do nas przychodzi, żeby za bardzo nie ingerować, nie podchodzić za bardzo intelektualnie do tego co spod palców wychodzi, czyli: nie, tego nie, bo to nie pasuje albo na przykład nie, bo brzmi może trochę inaczej niż drugi numer, który jest już zarejestrowany. Jest to obca nam metoda pracy, też jakby dzięki pandemii się tego nauczyliśmy, w sensie nauczyliśmy... zaobserwowaliśmy to i zwracamy na to uwagę, żeby nie ingerować po prostu w ten naturalny proces twórczy i pozwalać sobie na to, co gdzieś tam z nas wychodzi. Potem ewentualnie aranżacyjnie czy na przykład brzmieniowo koloryzować i jakoś to uspójniać, ale nie wyrzekniemy się tego, że jednak po prostu wyrosliśmy na tym i pewnie będziemy sobie dalej z tego czerpać w różnym natężeniu.

MARTYNA MATWIEJUK: **To zdradźcie proszę, czym napędzaliście tę swoją kreatywność tworząc ten materiał.**

POLA CHOBOT: Tona rozmów, tona załamań psychicznych i nerwowych, ponieważ dostaliśmy bardzo, bardzo w kość. To był generalnie dla nas bardzo ciężki rok nie tylko też pod względem pandemicznym, ale faktycznie dużo czytaliśmy, ja odświeżałam starocie takie zupełnie, których gdzieś tam nie miałam szansy nadrobić jeszcze w czasie studiów, czyli jakieś klasyki zupełnie. Wrzuciliśmy się też w taką ścieżkę, zainspirowaliśmy się mindfulnesssem też bardzo. Szukaliśmy jakiś takich przestrzeni, które dałyby nam jakieś, może trochę złudne, poczucie bezpieczeństwa, coś takiego, czyli gdzieś tam sporo było przestrzeni takiej, którą sobie chcieliśmy zostawiać, czy jakieś medytacje, dużo jakieś takiej pracy związanej z przerabianiem

po prostu jakiś tam swoich traum i barier, bo wiesz, wreszcie w czasie pandemii przyszedł na to czas, żeby się zastanowić nad sobą i nad tym, co gdzieś tam nas gnębiło, więc no ja napisałam bardzo, bardzo dużo tekstów. Myślę, że może się z tego uzbiera jakiś, takie moje marzenie, tomik mini – fajnie by było; ale bardzo dużo rozmawialiśmy. My nie mieliśmy trochę wyjścia, [śmiech] bo byliśmy zostawieni sami sobie i to były takie właśnie twórcze rozmowy na temat oczekiwań, na temat funkcjonowania w tym świecie, na temat w ogóle tego co jest dla nas ważne, a co nie jest ważne. Bardzo ciekawy, bardzo skrajny, inspirujący czas w ogóle to dla nas był i w sumie chyba nadal to trwa.

ADAM BARAN: Reset, taki mentalny reset.

♪ [FRAGMENT UTWORU „KURZ” POLA CHOBOT & ADAM BARAN]

„Oczyszczam z cudzych spojrzeń/ Co kradną moją moc/ Cały ten kurz/ Co wsysam go do płuc/
Pochodzi z waszych ust/ Cały ten kurz/ I ledwo dysząc/ Tłumiąc z bólu jęk/ Ocieram polik
z łez/ Cały ten kurz/ Co wsysam go do płuc/ Pochodzi z waszych ust/ Cały ten kurz/ I ledwo
dysząc/ Tłumiąc z bólu jęk/ Ocieram polik z łez.”

MARTYNA MATWIEJUK: **To ja jeszcze podpytam o wasze ulubione momenty z tej płyty. Mnie bardzo zaskoczył utwór „Fruń”, którego refren przypomina mi takie pop rockowe utwory z końca lat dziewięćdziesiątych, klimaty w stylu Edyty Bartosiewicz. We mnie to wywołało bardzo przyjemne zaskoczenie.**

POLA CHOBOT: Też nie da się ukryć, że jesteśmy dziećmi lat dziewięćdziesiątych...

ADAM BARAN: [jednocześnie: No tak.]

POLA CHOBOT: więc no po prostu gdzieś tam, to musiało prędzej czy później znaleźć jakieś ujście, w któryś numerach. Dla mnie najważniejszym utworem na tej płycie i utworem w ogóle, który nagrywaliśmy jako pierwszy, to był taki moment przełamania – że tak powiem – to był „Kurz”.

ADAM BARAN: To był „Kurz”. [mhm]

POLA CHOBOT: I też jest to pierwszy utwór w ogóle, który sama od A do Z napisałam na tę epkę, który trochę wyznaczył kierunek tego wydawnictwa, więc no ja „Kurz”, to jest takie moje dziecko.

ADAM BARAN: Ja jeszcze bardzo lubię, tę wiolonczelowe odjazdy w „Śpiących Oknach” i bardzo się cieszę, że tę wiolonczelę udało nam się zarejestrować i ten dźwięk poprzetwarzać, wszyło to tak trochę może nawet awangardowo. Bardzo lubię też utwór otwierający epkę, lubię bardzo „Krzyż” i te piękne chóry, które dziewczyny na naszej płycie zaśpiewały.

POLA CHOBOT: Była to nieprawdopodobna energia w ogóle w studiu, zupełnie inna niż dotychczas, bo faktycznie powiększyliśmy skład i też myślę, że to trochę słyhać na tej płycie, że troszkę więcej istnień się tam pojawiło i to w ogóle była super sesja. Zawsze te sesje są super, ale ta była wyjątkowa, to trzeba przyznać, że te sesje przy tej epce były wyjątkowe, więc szkoda, że słuchacze nie mają dostępu do tego, co wyprawialiśmy w tym studiu, ale może kiedyś zrobimy jakiś mini-dokument z tego.

MARTYNA MATWIEJUK: **Musicie wypuścić making-offa po prostu.**

POLA CHOBOT: [śmiech] Chyba tak, chyba tak zrobimy. Są co prawda krótkie filmiki, na których są urywki na naszych mediach społecznościowych, ale myślę, że chyba zrobimy, zmontujemy coś takiego longiem, żeby dać jakiś taki przedsmak tego, co się wydarzało przed tym.

MARTYNA MATWIEJUK: **A póki co rozumiem, że czekamy na winyla?**

POLA CHOBOT: No dobra! No dobra, mieliśmy nie mówić, ale dobra. To tajna informacja, ale tak, tak. Myślę, że ta epka po prostu zaprowadza nas w stronę jakiegoś takiego concept albumu, który powolutku gdzieś tam się zradza i chcielibyśmy go sfinalizować, właśnie takim pięknie wydanym winylem. Zobaczymy, może jeszcze uda się w tym roku pod koniec, a może na początku przyszłego. Zobaczymy jak sytuacja się rozwine.

MARTYNA MATWIEJUK: **To trzymam kciuki. Pola Chobot i Adam Baran z epką „Trzeba Mi”, dziś na zakończenie Kontroli Jakości, wcześniej Krzysztof Lenczowski z płytą „Lost Journey” i Oxord Drama z albumem „What’s The Deal With Time?”. Bardzo dziękuję wszystkim słuchaczom, to już dwunasty odcinek comiesięcznego przeglądu płytowego w Audycjach Kulturalnych. Słyszemy się za miesiąc.**

♪ [PRZECIĄGŁY DŹWIĘK]

LEKTOR: Audycje kulturalne – w dobrym tonie.